Nr. 11. 10. Kwietnia 1872. **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.



PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O gminie i urzędach gminnych.

Wszerz i wzdłuż można przebyć wielki kawał kraju, a nigdzie prawie nie zdybiemy ludzi, żyjących samotnie. Czasem gdzieniegdzie bieleje się pod lasem chatka gajowego, czasem gdzieniegdzie znajdziemy w oddalonem ustroniu karczmę samotną; zresztą żyją ludzie najwięcej w pobliżu, żyją w mniejszych lub większych gromadach, które my w naszym polskim języku wioskami lub siołami zowiemy.

Każdy gospodarz potrzebuje bezpieczeństwa dla swego dobytku i dla swej chudoby, potrzebuje dobrej drogi, aby mógł zwozić żyto lub kartofle z pola, zawieźć takowe do miasteczka lub miasta, potrzebuje wreszcie szkoły, aby tam dzieci jego mogły się uczyć pożytecznych i potrzebnych nauk. Ztąd właśnie jasno się pokazuje, że mieszkający samotnie gospodarz nie mógłby mieć tego wszystkiego, jasną jest rzeczą, że dla porządku i bezpieczeństwa, dla wybudowania i utrzymania drogi i szkoły, muszą się ze sobą rozmówić, naradzić i ugodzić.

Ludzie nie bardzo nawet starzy pamiętają rozmaite czasy. Był czas, że pan czyli dziedzic, mieszkający w przestronnym dworze, kierował i rządził sprawami gminy, czyli gromady

i że mieszkańcy tejże musieli w milczeniu spełniać jego rozkazy; był potem czas, gdzie pan „Becirks Vorsteher“ w powiatowym mieście ustanawiał wójtów po wsiach i nakazywał im, jak postępować mają; — teraz od roku 1866 zaczął się nowy porządek rzeczy. Ustawa sejmowa zatwierdzona przez cesarza, nakazuje, aby sami gospodarze wybierali w każdej wsi radę, która ma zarządzać sprawami gminnemi. Według tej nowej ustawy ma ta rada razem z wójtem wykonywać nietylko to, co jej nakażą, ale powinna działać według własnego rozumu i sumienia.

W tych krajach, gdzie już od dawniejszych czasów gminy czyli gromady w taki sposób urządzone były — nauczyli się ludzie z doświadczenia, jak mają prowadzić interesa gromadzkie; syn słyszał od ojca o sprawach gminnych, młodszy brat od starszego, młodym opowiadali starzy; jedném słowem, każdy gospodarz zaznajomił się już w swej młodości z tem, jak spraw gminnych pilnować należy. U nas ludzie nie mogli się nauczyć w ten sposób prowadzenia spraw gminnych — dlatego też wszystkie gminy starać się powinny o to, aby poznały dobrze przepisy potrzebne. Oto treść ważniejszych przepisów ustawy gminnej.

Gospodarz domu, ojciec rodziny, najwięcej przywiązania czuje do dzieci; o nich stara się bardzo troskliwie, dla nich pozostawi cały zapracowany dobytek, mniej obchodzi go dola lub niedola obcego parobka, który się na rok lub dwa do niego najął, a jeszcze mniej troszczy się o podróżnego, któremu udzielił gościnności w chacie swojej. Podobnie rzecz się ma w gminie, czyli gromadzie. Każda gromada troszczy się najwięcej o tych, którzy w niej dłuższy czas przemieszkują, mniej zaś o ludzi, którzy tylko na czas jakiś we wsi osiedli. Gospodarz gruntowy, rzemieślnik, który tam rzemiosło swe prowadzi, nauczyciel, który uczy dzieci w szkole, dbają najbardziej o tę osadę, z którą ich dola i niedola tak silnie jest złączona. Czy to pożar znaczniejszy kilkanaście chat spali, czy woda wyleje, czy inne jakie nieszczęście gromadę dotknie, najbardziej na tem cierpią stali mieszkańcy gminni, którzy

w niej od młodości przebywają, podczas kiedy przybysze i goście bez trudności się w inne strony przenoszą. Dlatego też słusznie ustawa gminna nakazuje zawiadować majątkiem i sprawami gminnemi stałym mieszkańcom gminy, co się zwą członkami gminy, a wyłącza **obcych** w gminie. Obcy, to jest ten mieszkaniec wsi, co tylko na kilka lub kilkanaście tygodni do gminy przybył, może wprawdzie korzystać z dobrej drogi, jaką gromada wybudowała, może bezpiecznie mieszkać, jak gromada zapewnia, lecz nie ma innych praw, n. p. nie może wybierać do rady gminnej, o o czem później. Z pośród członków gminy, to jest tych mieszkańców, którzy przez dłuższy czas stale w gminie przebywają, odróżnia ustawa przynależnych do gminy i uczestników. Przynależnymi są ci, którzy się w gminie urodzili, lub do gminy przyjęci zostali, dalej kobiety poślubione przez członków gminy, a wreszcie urzędnicy i duchowni nauczyciele, w gminie zamieszkali. Inni członkowie gromady czyli gminy, którzy wprawdzie w gminie stale przebywają, lecz się tam nie porodzili, ani przez gminę przyjętymi nie zostali, zwą się uczestnikami gminy.

Różnica między uczestnikami a przynależnymi do gminy jest ta, że przynależni mają w razie zubożenia prawo do pewnego wsparcia. Jeżeli n. p. gospodarzowi w gminie urodzonemu i osiadłemu spali się chata, tedy winna mu gromada dać wsparcie; nie ma zaś obowiązku dawać mu tęgo wsparcia w takim razie, jeżeli w prawdzie jest w gminie zamieszkałym, lecz przynależnym nie jest.

Jak ci członkowie gromady radę gminną wybierają i co ta rada załatwia, pomówimy na drugi raz.

MIKOŁAJ BUŃCZUK

Zdarzenie prawdziwe,

opowiedział **Ta. Cza.**

W głębokim jarze, otoczona małym laskiem, spoczęła nad rzeką zaciszna wioska Wilkowce. Spokojni gospodarze,

pracowita młódź, skromne dziewczęta, żyjąc uczciwie z dnia na dzień, nie znali troski o czarny poczciwy chleb podolski, nie trapili się obawą złego jutra, nieszczęść, ani innych dolegliwości. Szczęśliwą włość omijały zawsze grady lub zaraźliwe choroby, wijący się wstęgą Seret, nie zalewał z wiosną przyległych pól, a o pożarze starzy zapomnieli, a młodzież znała tę straszną klęskę tylko z opowiadania.. Gdzie praca i dobra silna wiara, tam zawsze spokój i szęście zagości nie na dzień, nie na miesąc, ale na długie, długie lata.

Dzwonek cerkiewny zwoływał gromadkę na nabożeństwo, wszystko więc co żyło w wiosce, spieszyło w miejsce, gdzie za szumiącemi topolami połyskiwał wysoki krzyż drewnianej cerkiewki. Ksiądz pleban, pasterz tej wzorowej owczarni, pilnie patrzał na to, aby się żadna do niej nie zakradła parszywa owieczka. Po krotkiem nabożeństwie, gdy się cała gromada rozsypać miała po mnogich uliczkach włości, wystąpił nagle czerstwy jeszcze, stary Ołeksa Buńczuk i zdjął kapelusz i tak rzecze do zaciekawionych gospodarzy:

— Przepraszam was poczciwi ludzie i proszę, raczcie się na chwilkę zatrzymać, aby posłuchać skargi nieszczęśliwego ojca.

Gromada zdziwiona tem przemówieniem starego Buńczuka, poczciwego kuma i wzorowego gospodarza, przystanęła, a wójt w te się odezwie doń słowa:

— Z woli Bożej podzielamy z wami szczęście i nieszczęście, a więc opowiedźcie nam wasza sprawę.

— Mój Mikołaj zniknął z wioski od wczoraj, w komorze na jego łóżku znalazłem kartkę, z której się dowiedziałem, iż niepoczciwy chłopak uciekł do miasta, by tam przystać do wojska i puścić się w świat daleko, rzucając sędziwego ojca, wioskę, rodzinę swoją, najdroższą ojcowiznę! Takie to moje nieszczęście, a wy, którzyście skargę ojca słyszeli, ulitujcie się nad moim losem i obdarzcie słowem pociechy i rady.

A jednak nikt na te rozpaczliwe słowa Buńczuka nie dał odpowiedzi. Mikołaj znany bowiem był w wiosce jako psotnik, nieuczciwy, złośliwy, niespokojny chłopak. Ni to do

pracy, ni do książki, ni do zabawy z innemi chłopięty.... Gdzieś po dzikich przepaściach, w najciemniejszych miejscach boru przepędzał dzień cały, wysoki a chudy chłopiec, z włosem nierozczesanym, zjawiał się dopiero wieczorem do chaty i siadał nie mówiąc słowa do wieczerzy, po której zamykał się na noc w swojej komorze. Gdyby choć w nocy spokojnie leżał na miękkiej poduszce, co mu się Bogiem a prawdą za jego lenistwo nie należała — przeciwnie, jak się domyślił, że ojcowie pozasypiali, dalej na strych, a tamtędy przez dymnik na dach, a z dachu jednym skokiem na ziemię, świsnął na psy i nuż w drogę po sąsiedzkich sadach i grządkach.

O tych śmiałych a nieuczciwych sprawkach nikt prócz arendarza nie wiedział; pejsaty Szaja nie myślał też nikomu zdradzać tak dobrego kupca, który mu jarzyny, owoce, czasem kurczę lub gąskę za marnych kilka dudków sprzedawał. Uchodziły więc leniowi te sprawki, ale ten znając dobrze siebie i wiedząc, że się dłużej od większych sprawek nie powstrzyma, drapnął onego wieczora do miasteczka zostawiając rodziców w smutku, a całą wioskę w niepewności i domysłach. Jużto prawdę mówiąc, ani parobczaki ani dziewuchy nie frasowały się zniknięciem Mikołaja, pierwsi nie mieli z niego ani korzyści, ani dobrego towarzysza, z drugich żadna dotychczas za nim oczkiem nie rzuciła, a wszystkie „dzikiego Mikółkę“ jak go nazywano, nie lubiały.

Co się z nim działo?....

Rychło stanął w miasteczku.....

Jeden dzień, drugi, żył jako tako z kalety, co ją napełnił groszem Szai, lecz wnet się te skarby wyczerpały. Do drugiej niedzieli nie miał nic; — cóż miał tedy robić? albo przyjąć służbę, albo się wrócić pod ojcowską strzechę. Pójść w służbę dla pieszczonego chłopskiego dziecka, zdawało się za ciężkie i za proste; wrócić się do domu także nic potem, trzebaby przepraszać rodziców, spuszczać chytre oczy przed ludźmi a może się i spowiadać przed proboszczem!... Nie, nie... inaczej myślał „dziki Mikółka“; jego otumaniła ta piękna muzyka, co to huczała przed karczmą w miasteczku. Tam werbowali do wojska, była bowiem podówczas wojna

z Francuzem, a ludzi dużo potrzebowano. Mikółce podobały się te białe mundury i świecące guziki, nie wiedział bowiem, że za plamkę na mundurze i za rdzę na guziku, tęgo pan kapral grzbiet mierzył trzciną. Długi karabin, wysokie kasko, wszystko to zdawało mu się najwyższem szczęściem, które złapie w swe ręce, skoro tylko przystanie do wesołych kamratów.

Nieśmiało więc wsuwa się do karczmy i pyta jakiegoś wojaka, czyby go nie przyjęto do „regimentu,“ mówiąc dobrze, po naszemu, do pułku....

— Gut! gut! kolega! - krzyknie jakieś pijane żołdaczysko. — My cię wyabrychtujemy i będziesz dopiero fajny cesarski infanterzysta. Jaki ty głupi, żeś dotąd do nas nie szlusował! Co z ciebie teraz? gemajny cywil! co znaczy tyle, co nic... Chodź! napijesz się z nami sznapsa, a potem zostaniesz rekrutem...

Nie wiele tam Mikółka zrozumiał ze słów tego wojaka, jemu się zdawało, że to jakiś wielki oficer, a to tymczasem prosty taki sam jak on chłop, który się tylko swojej wiary wypierał, kiedy takim łamanym językiem do własnego brata przemawiał. Zapomniał on ojców mowy, a z nią razem stracił i poczciwość i prawe serce chłopskie. Odurzony wódką Mikółka w krótce naprężył się pod miarą, a za kilka godzin wraz z innymi równie jak on głupimi, popędzony został jak trzoda do kasarni, gdzie mu rzucono stary podarty mundur, rude buciska i czapkę, którą nie wiedział jak, którą stroną włożyć... O! smutne to były czasy dla Mikółki. Trzy miesiące go męczono, bito, zamykano, nim z rekruta zrobił się jaki taki żołnierz. Nieraz zgrzytał zębami ze złości, gdy mu guziczki, te śliczne guziczki, które dziś przeklinał, czyścić kazano, gdy pan kapral z potężną trzciną na sznureczku nie tylko siebie, ale i innych starszych pucować (jak się to w ich parszywym języku nazywa) mu kazał... A z tą egzecyrką niemała także była bieda. A to habtacht, to presentirt i fajer nie mało mu się dało uczuć. Czego łatwo pojąć nie mógł, to mu pomagał pan kapral trzcinką, a jeżeli co wielkiego zbroił, tedy cała kompania puszczała go ulicą

rózg! Nie godzi się nawet tłumaczyć tego dawnego srogiego zwyczaju, gdzie stu biło jednego. Nareszcie, nareszcie Mikółka po długim przeciągu czasu, znał wojskowy manir, umiał się ubrać, głowę trzymać jak kogut wyciągniętą, nogami ruszać zgodnie z innymi, przyuczył się mustry z karabinem, krzyczał na warcie gweraus i maszerował na paradzie przed jenerałem. Wtedy zapowiedziano mu, że jeżeli się będzie dobrze sprawował, może zostać frajtrem, a kiedyś, kiedyś kapralem!

Tymczasem wojna wrzała coraz goręcej, i pułk, w którym służył Mikółka, musiał także maszerować do obcego kraju, między obcych ludzi, gdzie kulki świszczą i lecą na człeka jak gradem... Choć był zły, ponury i zamiast siebie poprawić, coraz bardziej pomnażał swe błędy, przykro mu się jednak zrobiło, gdy coraz więcej oddalał się od rodziców, którym nigdy nie dawał wieści o sobie. Zapłakać jednak nie zapłakał, trochę pożałował.

* * *

Biedni rodzice myśleli że zginął gdzieś i przepadł w świecie, aż tu tymczasem w pół roku po jego ucieczce dostali wielki opieczętowany papier, z którego wyczytali co następuje:

Drogie rodzice!

Piszę kurc, że jestem zdrów i get mir gut. Jestem frajtrem w 80 regimencie i zostaję w Italji. Byłem w szlachtunku ze 100 razy i jestem ganc gezund. Przesyłajcie pieniędzy, — ale dużo, bo waș pozwę do Gerichtu.

Wasz syn

Nikolaus Buńczuk

frajter przy 80 regimencie itd. itd.

Tak to napisał syn do rodziców, takim językiem do tych, co go w innej wierze wychowali; tak to nareszcie ośmiela się, grozić siwej głowie ojca ten, który porzucił swój kraj i zerwał z chatą ojców.

Niemało zdziwili się Buńczukowie tym listem. Mieli go prawie za straconego, a tu tymczasem Mikółka daje im

w podobny sposób wiadomość o sobie. Matka — jak zwykle kobieta z natury próżna nieco — chciała się tem przed ludźmi pochwalić, iż jej synek dostąpił tak wysokiego stopnia w wojsku, stary jednak, bywalec po świecie, nie wiele dla siebie pożytku wróżył z tych śmiałych słów syna. Szczególnie ten ustęp, w którym ów dopomina się o pieniądze, a w razie przeciwnym śmie grozić procesem siwej głowie ojcowskiej, zmartwił starego srodze, i na nowo rozranił świeżą bliznę. Wysłał więc Buńczuk synowi 15 złr., a na końcu listu dołożył przebaczenie ojcowskie za te niegodziwe postępki Mikółki. List doszedł w krótce Mikółkę, ten więc ośmielony powodzeniem i względami rodziców, począł coraz uparciej pisać i pisać, a gdy pisaniny jego nie skutkowały, groził procesami i t. p. a raz nawet zapewne w szatańskim obłędzie zemstą.

Tak się działo prawie przez rok cały.

Z początkiem nowego roku, listy stawały się co raz rzadszemi, w końcu przez dziewięć miesięcy Mikółka nie dał ani słówkiem wiedzieć o sobie.

Jak przedtem wielką zuchwałością syna, tak teraz znowu tem upornem milczeniem, sfrasowani Buńczukowie gryźli się i martwili coraz bardziej. Stary często nie wstawał z komory, a matka płacząc ustawicznie za straconym złym synem, pochylała się także co raz bardziej do grobu....

Po upływie dwóch lat, zjawił się w piękną wiosenną niedzielę Mikółka w chacie rodzinnej, ale przebrany i ułożony tak, iż nikt go poznać nie mógł. Nie był to zwykły, jak to nazywają urlopnik, broń Boże! — Mikółka ubrany był w suknie miastowe, buty wysokie do kolan, jakiś surdut niemiecki z długiemi połami i obcisłemi rękawami, z żółtą chustką na szyi i jakiejś nieboskiej okrągłej, a wielkiej jak dno u beczki czapicy.

Ani rodzice, ani nikt z krewnych i znajomych poznać go nie mógł. Dziwnie bo się też teraz odmienił; wszedłszy do chaty przywitał rodziców słowami: Niech będzie pochwalony, upadł do nóg, ściskał ich i całował po rękach, aż się ojcom serce radowało.

Gromadę powitał przyzwoicie, parobczakom skłonił się trochę dumnie, a dziewczętom przyjaźnie z jakimśić uśmiechem na twarzy, które one po raz pierwszy u chłopskiego dziecka zobaczyły. Starsi dopytywali się go o powodzenie, a Mikółka skromnie i cicho o swoich wypadkach opowiadał, z czego się dowiedzieli, że został w wojsku kapralem, że jest na urlopie, a za dobrą i uczciwą służbę, kto wie czy go nawet nie uwolnią.

Rósł więc Mikółka w szacunku u ludzi, i poczęto się trochę szczerzej do niego przyzwyczajać.

Był jednak jeden człowiek, co temu nie wierzył, a to młody Stefan Łuk, chłopak giętki jak trzcina, piękny a młody, dobry i do hulanki i do pracy. Jeszcze kiedy się to razem na cmentarzu bawili, Stefan nie raz z Mikółką się zadzierał, gdy ten gnębił i chytrze podchodził młodszych od siebie. I teraz Stefan tak myślał sobie w duchu:

— Gdzie ten Mikółka tak się zmienił za dwa lata, on co był pierwej taki chytry, taki dziki, a dziś zupełnie inny, i korny i układny choć do rany przyłóż... Coś on knuje, coś chytrze postępuje....

Stefan kochał, a kochał prawdziwie córkę swego sąsiada szwarną Ołenę... Zakochani, jak to zwykle pomiędzy sobą szczersi i nie mający żadnych tajemnic, zgodzili się także na to, że Mikółka coś złego zamyśla; Ołena ostrożnie przeto unikała Mikółki, widząc że ten coś się bardzo koło niej kręci i do uszka radby coś poszeptać, a gdzie tylko może za rękę ściśnie... Stefan widział to wszystko, a tem bardziej się do Mikółki zniechęcił, gdy ten chatę ojców Ołeny coraz częściej nawiedzał; starał się przypodobać.

— Nauczę ja tego włóczęgę, — mruczał wściekły Stefan — nauczę ja go włazić w cudzą kapustę, gdybym tylko gdzie znalazł zaczepkę...

I ta sposobność w krótce nadeszła. Było to w czasie żniw. Wieczorem wracali żeńcy z pola, a u wrót spotkali czekającego spokojnie na Ołenę Mikółkę. Ten zbliżył się i rzekł:

— A cóż to, Ołenka nie pozwoli się odprowadzić do domu?

Usłyszał to Stefan i rzecze w lot:

— Ej mój ty miastowy paniczu, w swoim ciasnym kubraku, czego ty z nami nie wyjdziesz na pole zginać się nad kłosem, a teraz to ci się słodkiego mleka zachciewa? Wara od mojej dziewki, nie wielka sztuka po nią do wrót się potrudzić, pracuj z nami dzień cały, a potem nikt ci uśmiechać się do dziewcząt nie zabroni!

Mikółka poczerwieniał cały.

— Stefanie! Stefanie! nie obrażaj wojskowego człowieka, za mój honor....

— Za twój honor! — przerwał mu Stefan szybko — alboż ty masz honor? Chłopcy! powiedzcie kto się za Mikółką ujmie, niech wystąpi naprzód!

Nikt się nie ruszył. Parobcy z niechęcią spoglądali na Mikółkę, a dziewczęta zerkały przyjaźnie za odważnym Stefanem.

— Ej panie Stefanie! nie żartuj, będzie źle...

— A choćby mi jak najgorzej było, to ci zawsze powiem, żeś próżniak, głupi a nadęty jak paw, a gdy zechcesz, powiem przed gromadą to, co tylko ja i ojcowie twoi wiedzą, a co by wszystkim pokazało, jak jesteś podłym! Nie mam cię za nic! Chodźcie dziewczęta i parobcy. Daj rękę Ołenko!

Z śmiechem oddaliła się gromada żeńców, a Mikółka został sam u wrót, targając ze złości chustkę i gryząc sobie palce.

— O! poczekaj hamie! — mruczał sobie pod nosem, - ty mnie uczyć, mnie cesarskiego żołnierza! Ja się zemszczę na tobie, a Ołena, Ołena będzie moją!

Chyłkiem, gdy się ściemniało wszedł do chaty, a nazajutrz o świcie wyjechał do miasteczka. Wieczorem wrócił z radosną twarzą i starał się koniecznie przydybać gdzieś Ołenę. Znalazł ją koło krynicy, gdzie wraz z dziewczętami o wczorajszym rozmawiała wypadku.

— A dobry wieczór wam Ołeno!

— Moglibyście sobie schować wasze powitanie, panie Buńczuk.

— Ot nie bądz ty taka dumna i pyszna panno Ołeno!

patrz i twój pan Stefan był także dumny i pyszny, a dziś gdym był w mieście, w becyrku, słyszałem jak mówiono coś o brance... o panu Stefanie... a parobek pod miarę .. jak dąb... cha! cha! — i zaśmiał się złośliwie....

Dziewczyna zbladła i z płaczem pobiegła do domu.

W kilka dni rzeczywiście pozwano Stefana do miasta i wzięto go w kamasze. Mikółka cieszył się z tego w duchu, ale ludziom tego nie okazywał.

— Nie wiem jakim sposobem, — mówił on do ojca Ołeny, takiego poczciwego chłopca jak Stefan i jedynaka, zabierają do wojska.... jaka w tem przyczyna?

Znał on dobrze tę przyczynę, gdyż on sam poszedł do powiatu i tam przedstawił Stefana jako buntownika i niebezpiecznego we wsi. Kruczka tego nikt się niedomyślił, a biedny Stefan poszedł w rekruty.

Mikółka teraz co raz częściej oświadczał się Ołence, aż w końcu poprosił i ojców o córkę....

Ojcowie, nie znając go tak dobrze, nie wiedząc, że to z gruntu zły człowiek i nosi tylko przybraną skórę owczą, a sam jest wilkiem, zgodzili się na jego prośbę, ale dziewka ani chce słyszeć o nim.

— Nie pójdę tatuniu za niego, chociażbyście mnie krajali, on to mnie mego Stefana pozbawił, ja go nie kocham, nienawidzę Mikółkę... nie pójdę za niego... nie! I prośby i groźby nic nie pomogły, pan Mikołaj Buńczuk poszedł z kwitkiem, a Ołena także za innego nie wyszła za mąż, postanowiwszy czekeć na Stefanka, a choćby do śmierci.

Mikółka, a raczej już tęgi Mikołaj ze złości i na przekór Ołence, wybrał sobie najbogatszą dziewczynę w całej wsi i w pół roku z nią się ożenił.

Od tego czasu Buńczuk wszedł już pomiędzy gospodarzy i myślał tylko, jakby zostać przysiężnym lub wójtem.

Czy mu się to udało — zobaczymy.

(Dokoń. nastąpi.)

Nad kołyską.

Zielenią się pola, zieleni dąbrowa,
Kołysz mi się kołysz kolebko lipowa!
Kołysz mi się kołysz, od ściany do ściany,
Moja ty gwiazdeczko, syneczku kochany!

Osłonię kolebkę gałązką kaliny,
Będziesz spał jak w gaju zielonym ptaszyny.
Świeci złote słonko na błękitnem niebie,
Jabym to słoneczko zerwała dla ciebie.

Jabym cię chłopczyno jutrzenką odziała,
Całebym się życie w twe oczka patrzała.
Lecz jak smutnie kracze wrona z nad wierzbiny
Ach, nie płacz mi, nie płacz kwiateczku jedyny!

O jak wiatr zadzwonił wszystkiemi szybkami,
Jak żałośnie zawył kruczek za wrotami!
O jakże mi serce wystraszone bije!
Ach! nie płacz mi synku, ja twe łzy wypiję!

Wacław Rzewuski.

Przed kilku laty byłem na Ukrainie, dokąd mię sprawy rodzinne, a przytem także i chętka zwiedzenia świata zagnały. Kraj tam niby podobny do naszego, a przecie trochę odmienny. Ludności bardzo mało, wsie ogromne, ale chaty w nich, jedna od drugiej daleko, i licho pobudowane. Lud mówi językiem ruskim, który mało się różni od mowy naszych Rusinów w Galicyi. Pola uprawionego nie wiele, za to dużo pastwisk, czyli jak tam nazywają stepów. Step taki ciągnie się nieraz mil kilka, nawet kilkanaście, — jedziesz, a przez cały step ani chaty, ani nawet żywej duszy nie spotkasz, — chyba od czasu do czasu jakiego dziada wędrownego, co spieszy na odpust, albo też na koniu jak błyskawica przeleci ukrainiec, albo też gdzie spotkasz samotną chatę, otoczoną kilku drzewami, najczęściej nad źródłem wody; taką osadę nazy-

wają tam futorem. A przecież dawniej lepiej i weselej było na Ukrainie. Dlaczegóż to? bo dawniej Ukraina do Polski należała, i swobodę miała pod polskim rządem. Dziś, tak jak wiele ziem polskich, tak i Ukrainę zabrali Moskale i gospodarują w niej po swojemu. Niegdyś Ukraina była jakby murem, który Polskę i resztę świata od napadów Tatarów i Turków ochraniał. Mało było ludu osiedlonego na Ukrainie, ale



Wacław Rrzewuski.

byli tam kozacy, ludzie wojskowi, nieżonaci, którzy z wojny z Tatarami i Turkami żyli. Do tego wojska kozackiego należeli Rusini i Polacy, a dzielne to i nieustraszone było wojsko. Na stepach ukraińskich, jak dziś, tak i w tenczas wypasały się stadami dzikie konie, bardzo piękne, silne i szybkie.

Kozacy ujeżdżali te konie i na nich cudów wojennych dokazywali.

Gdy nieszczęścia naszą ojczyznę przygniotły, i Moskale dużo kraju naszego pozabierali, wówczas wielu Kozaków biło się przeciw Moskalom i drogo swe życie za Polskę przedawali. Po przegranych bitwach, część Kozaków Moskale ujarzmili, w dalekie kraje wysłali i sobie służyć kazali. Druga część uciekła do Turcyi, bo wolała służyć chociażby Turkom poganom, niż Moskalowi. Między tymi był i Wacław Rzewuski, którego obrazek nasz przedstawia. Przybrał turecki strój, jak to widzicie na obrazku, i w głęboką się puścił Tureccyzznę, bo aż do kraju arabskiego. Tam długie lata żył z Arabami, a wciąż tęsknił do swej nieszczęśliwej ojczyzny, gdzie mu wracać nie było wolno. Pokochał dziewicę turecką, lecz nie mógł się do kraju tego przyzwyczaić, nic mu drogiej Polski zastąpić nie było w stanie. To też na pierwszą wieść o powstaniu w Polsce, o wojne z Moskalem, Rzewuski żegna dziewicę turecką i spieszy do Polski na krwawy bój. Turczynka z żałości chce sobie życie odebrać, chce sobie serce przebić nożem ostrym, co go sztyletem nazywają. Rzewuski wydziera jej ten sztylet ostry, kończasty, — ostatni raz ją uścisnął i poleciał na wojnę. Z nim jego wierni kozacy. Ogromnie przestraszyła się Moskwa, na wiadomość o przybyciu Rzewnskiego. Był to bowiem zuch nad zuchy. W nocy, pocichu podkradał się pod obozy moskiewskie z swoimi kozakami i kropił Moskali co się zowie. Nieraz bywało, każe koniom kopyta płachtami poobwijać, aby się cicho mógł podkraść. I długi czas mu się wiodło; Moskali poturbował nie mało. Aż przyszło i na niego nieszęście. Nadszedł dzień bitwy pod Daszowem. Rzewuski z kozakami cudów dokazywał, — Moskale już prawie pobici byli, — wtem na nieszczęście dowódzca od armat przez pomyłkę zły dał rozkaz, wojsko się źle ustawiło, i bitwa przegrana. Ten sam dowódzca armat, nazwiskiem Orlikowski, gdy zobaczył, że z jego winy bitwa przegrana, zabolał ogromnie, i na armacie się zastrzelił, aby tego wsydu nie przeżyć.

Po przegranej bitwie Rzewuski ostatni opuścił plac boju.

Ze złamanem sercem, sam jeden, na wiernym tylko koniu wracał do Turcyi. Noc nadeszła. Rzewuski zmęczony upatrzył samotną chatę na stepie, — konia uwiązał przed chatą, a sam wszedł, aby snem się pokrzepić, i trochę żalu zapomnieć. Po tylu trudach zasnął twardo. Śpiącego zastał w chacie chłop, — poznał po ubiorze, że to Rzewuski, za którego głowę car moskiewski taką nagrodę naznaczył. I złakomił się niecnota, — szatan mu zawrzał w piersi, a nadzieja pieniędzy przygłuszyła sumienie. Wyrwał sztylet z za pasa Rzewuskiego, ten sam sztylet dziewicy tureckiej — i przebił nim pierś walecznego obrońcy Ojczyzny.

Tak skończył ten dzielny bohater — Moskwa uradowała się jego śmiercią, — a po Polsce całej żal przeszedł i smutek, że znów jednego z najlepszych utraciła synów.

Stach ze Lwowa.

Gospodarstwo wiejskie.

Mięso świeże, dopóty dobre, dopóki nie wydaje cuchnącej woni, a to ma się rozumieć o każdem mięsiwie domowem z bydła, trzody i drobiu, gdy przeciwnie dziczyznę wolą lubownicy skruszałą i trochę już cuchnącą. Wszystkie bez wyjątku mięsiwa można peklować czyli marynować z solą, saletrą i korzeniami, albo wędzić, najlepiej jałowcem, tak przysutym popiołem, żeby jałowiec ogniem się nie palił, tylko ciągły a wolny dym wydawał. Jeżeli mięso wędzone zanadto zeschnie lub woń nieprzyjemną wydaje, trzeba je, obwiązawszy w stare płótno, w popiół albo w ziemię wilgotną do 24 godzin zagrzebać kilka cali głęboko. Doskonale przechowują się wędliny rozwieszone w nieopalanym piecu, założywszy otwór jego cegłami, starannie zalepiwszy wszystkie szpary gliną, żeby powietrze nie miało przystępu.

Dalszy ciąg książek ludowych,

których można nabyć w „Księgarni Polskiej“
we Lwowie.

Niemcewicz. Spiewy historyczne.
— O sposobie poznawania mleczności krów.
— Pielgrzym w Dobromilu, czyli nauki wiejskie z dodaniem powieści.
Piotrowicz. Okólnik o gwałtach moskiewskich w kościele katolickiem.
— Dwa listy o prześladowaniu kościoła katolickiego.
Rarey. Sposób obłaskawienia koni.
Schmitt H. Szkic historyczny dziejów 30letniego panowania Stan. Augusta. popularnie napisany, z 28 rycinami. W książeczce tej opisane życie ostatniego króla Stanisława Poniatowskiego i sposoby, jakich używali Moskale i Prusacy, aby Polskę zgubić i między siebie rozdzielić. Sławny polski dziejopis Henryk Schmitt, który kilka lat poświęcił na zbadanie historyi ostatnich chwil bytu Polski, wydał obszerne dzieło, a na pamiątkę stuletniej rocznicy rozbioru, napisał dla szkółek wiejskich i dla wieśniaków mniejszą książeczkę pod powyższym tytułem, przystępnie zwięźle. Rolnicy, którzy nie mają czasu, ani też tak wielkiej nauki, aby czytać obszerne książki, mogą się ztąd poznajomić dokładnie z historyą rozbioru Polski. Polecamy to dziełko najgoręcej.
Siemiński L. Wieczory pod lipą.
Skoczek. O szkole ludowej.
Smiles. Prawdą a pracą, czyli pomagaj sam sobie. 2 Tomy.
Spiewnik do użytku wszyskich chrześcian.
Szewczenko. Najemnica.
— Kobzarz.
Szkółka niedzielna dla włościan.
Szujski. Obrona św. Częstochowy.
Turkułł. Pędzenie smoły i terpentyny.
Turski. Ostatnia wola.
Zbrożek. Władysław Łokietek.

Od redakcyi.

W W. Księstwie Poznańskiem i w Prusiech przyjmuje przedpłatę na „Dzwonek“ Księgarnia Franc Richtera w Poznaniu.

Przedpłata dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus wynosi: rocznie 1 tal. 15 sgr., półrocznie 23 sgr., kwartalnie 13 sgr.

Redaktor i wydaw. odpow. Kazimierz Okaz. — Z drukarni Karola Budweisera.